Tygodnik ilustrowany

Famulus

3

N-11

24 kwietnia — 1 maja 1927 r.

30 gr

REBUS



ROZWIĄZANIE FIGIELKA



Za prawidłowe rozwiązania rozlosowano następujące nagrody:

1) Juljan Krzyżanowski — prenumerata kwartalna i 1 książka.

2) Zygmunt Leway — prenumerata miesięczna i 1 książka.

3, 4, 5) Ludwik Kanter, Zygmunt Bezeg, J. Weiss — po książce.

Wśród książek

F. E. Bilz. Nowe lecznictwo przyrodne. Nakł. księg. i Inst. sztuk pięknych w Paznaniu.

Rzadko autorowi, nawet tendencyjnie usposobionemu na humor, udaje się skupić taki stek bredni, jaki znajdujemy w tym pseudo-podręczniku. Podobne wydawnictwa powinny być zabronione przez władze. Na całe szczęście nakładcy i autor obmyślili inny sposób ograniczenia sprzedaży, wyznaczając cenę 62 zł. za te 2 tomy warjackich elukubracyj. Cena ta napewno powstrzyma liczne rzesze naiwnie poszukujących uzdrowienia bez pomocy lekarza.

Dowiadujemy się, iż **„Bajki Juljana Ejsmonda"**, o których pisaliśmy w jednym z naszych ostatnich numerów, zostały całkowicie wyczerpane w pierwszem wydaniu. Autor, zachęcony niebywałym popytem „Bajek", wkrótce wypuszcza drugi ich nakład.

Z redakcyjnego biurka

A. Szczygielskiej w Gdańsku. Polecić możemy w tej branży firmę „Konrad Jarnuszkiewicz", Grzybowska 25, w Warszawie. Przypuszczamy, że ceny są istotnie niższe. Szczegóły w katalogu, który z pewnością firma wyśle na żądanie.

K. Konradowi. Za życzenia dziękujemy. Nie skorzystamy.

J. Rabikowi. Proponowane przez Pana publikacje nie nadają się do szerszego rozpowszechnienia.

As. Nie skorzystamy.

Wilskiej. Nakład wyczerpany. Można znaleść w antykwarniach lub zbiorach. Przypuszczamy, że każda z większych bibljotek publicznych powinna mieć to dzieło.

Lampkemu. Konkurencją nazwać można tylko wtedy, gdy cena jest mniej więcej równa. W danym wypadku nie ma to miejsca. Alarm wszczęty najzupełniej niesłusznie.

A. W-iej. Cieszy nas bardzo, że pismo nasze zdobywa sobie coraz szersze sfery zwolenników. Jak Pani widzi, przetrzymaliśmy najtrudniejszy okres. obecnie mamy sojuszników w każdym niemal Czytelniku. Oni są dla nas właśnie najlepszymi kolporterami. Wysyłaliśmy numery w pełnym komplecie. „Godzina Czytania" opóźniła nieco datę ukazania się na rynku. Złożyły się na to najrozmaitsze niezależne od nas przyczyny. Dlaczego nie reklamujemy się? Robiliśmy to w swoim czasie.



Opłata pocztowa ryczałtem 24 kwietnia — 1 maja 1927 r. Cena 30 gr.

FAMULUS

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 11.

Prochy Juljusza Słowackiego spoczną na Wawelu

Polska przygotowuje się do wielkiej uroczystości sprowadzenia z ziemi francuskiej prochów swego wieszcza, jednego z trójcy nieśmiertelnych, Juljusza Słowackiego. Prochy spoczną w katedrze krakowskiej na Wawelu, jak tego pragnęła wola narodu, do której przychyliło się duchowieństwo.





Grobowiec Juljusza Słowackiego na cmentarzu Montmorency w Paryżu, gdzie dotąd spoczywają prochy poety, który zmarł we Francji na wygnaniu po wypadkach rewolucji 1831 roku. Do grobu poety urządzali pielgrzymki nasi rodacy, bawiący we Francji.

Następny numer „Famulusa“ będzie poświęcony Wielkopolsce

Aleksander Kraushar

Znakomity historyk, badacz architektury i zabytków warszawskich, sędziwy mecenas Aleksander Kraushar, jak przystało na historyka, opowiada swoją karjerę bardzo szczegółowo, cytując z pamięci daty, wypadki i liczne tytuły swoich prac, zadziwiając ścisłością i fenomenalną pamięcią:

— Było to w roku 1861, w roku przebudzenia się Polaków, uginających się pod znienawidzonem jarzmem moskiewskiem. Uczęszczałem wtedy do gimnazjum realnego w Warszawie, będącego pod dyrekcją Łyszkowskiego i Paszkiewicza. Nasi przewodnicy duchowi byli zacnymi ludźmi i wychowywali nas patrjotycznie. Przykładem tego był udział całego gimnazjum w asystencji naszych pedagogów na pogrzebie jenerałowej Sowińskiej w pamiętnym miesiącu lutym. Odbyła się wtedy ze współudziałem naszej szkoły historyczna manifestacja na Lesznie, skąd poprzez liczne kordony rosyjskich żołdaków udało nam się przedrzeć na plac Zamkowy i Krakowskie, gdzie padły pierwsze salwy...

Temu wszystkiemu przyglądał się z okna książę Gorczakow.

W tym właśnie pamiętnym roku pod wrażeniem rozgrywających się wypadków zacząłem pisywać.

Pierwszemi mojemi drukowanemi rzeczami były jednodniówki i ulotki okolicznościowe, poświęcone odbywającym się rozruchom i manifestacjom.

W roku 1862 i 3 byłem współredaktorem „Prawdy", redagowanej przez W. Sabowskiego, znanego bardziej pod pseudonimem Wołodego Skiby, oraz „Niepodległości", której redaktorem był Edward Siwiński.

Zaczęło się powstanie styczniowe.



ALEKSANDER KRAUSHAR

sędziwy historyk, poeta i pisarz, ostatni z żyjących członków Rządu Narodowego z roku 1863.

Wstąpiłem pod rozkazy Rządu, gdzie pracowałem, jako członek prasy przy Rządzie Narodowym. Obecnie takie stanowisko nazywałoby się: referent prasowy.

Stale w Warszawie nie przebywałem. Kilkakrotnie z polecenia Romualda Traugutta, dyktatora powstania, odbywałem podróże po kraju, objętym rewolucją, a nawet wyjeżdżałem i zagranicę.

W Lipsku już wówczas istniały największe zakłady graficzno-wydawnicze. Tam też udałem się po odbiór wydanej sumptem Rządu Narodowego instrukcji wojskowej. „Istrukcję" przewiozłem do Polski, gdzie została rozdana członkom partyj powstańczych.

Powstanie zgasło; mnie osobiście udało się jakoś uniknąć tego, co spotkało innych członków Rządu Narodowego.

Zabrałem się po zakończeniu powstania do prac literacko-historycznych. Rezultatem tego okresu, trwającego przeszło lat 50, było wydanie kilkuset monografij.

— Jakie ze swoich prac pan mecenas stawia na pierwszem miejscu?

— Przedewszystkiem 8 tomowe dzieło „Historję Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk".

— A pierwsza praca nie dziennikarska, lecz literacka, jaki nosiła tytuł?

— Był to tomik poezyj „Listki", a następnie również poezje, „Tytan" i „Arjon z Koryntu". Naogół dużo napisałem. Dzieła, którym poświęciłem najwięcej pracy, są: „Historja Żydów w Polsce", „Frank i Frankiści polscy", „Dawne pałace warszawskie", „Burboni na wygnaniu". Pisywałem również do pism francuskich „Gazety Sądowej" i „Przeglądu Sądowego".

— Czy władze rosyjskie nie utrudniały panu panu pracy za pisanie rzeczy rewolucyjnych?

— O tak, czyniono mi wiele przeszkód. Musiałem kilkakrotnie odbywać podróże do Petersburga z prośbą o pozwolenie zamieszczenia w moich dziełach tych rozdziałów które mi władze warszawskiej cenzury chciały skreślić.

— Za udział w powstaniu bardzo mnie, chwalić Boga, nie prześladowano.

Obecnie po śmierci Marjana Dubieckiego jestem jedynym, będącym przy życiu, ostatnim członkiem Rządu Narodowego — kończy swą rozmowę sędziwy patryarcha pióra.

M. G.

W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery" zabrali głos dotąd: Zygmunt Bartkiewicz, Gustaw Daniłowski, Wacław Grubiński, Zofja Nałkowska, Stanisław Przybyszewski, Zuzanna Rabska, Marja Rodziewiczówna, Juljan A. Święcicki, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Karin Michaelis.

KARTKI Z RAPTULARZA!

ROZMOWA O ŚWIĘTACH PO ŚWIĘTACH... — Jaka to szkoda, że święta wielkanocne bywają tylko raz do roku! — żalił mi się mój przyjaciel, człowiek do rzeczy, umiejący cztać w księdze życia mądrze i uczciwie.

— A no szkoda, nie przeczę! Człek, jak po kweście, chodzi po znajomych, podje dobrze, podpije niezgorzej — próbowałem żartować z żałosnej uwagi mojego przyjaciela.

— Ależ, nie o to mi wcale chodzi — przerwał mi żywo — podjeść i podpić dobrze potrafi u nas każdy przy wszelkiej okazji. Imieniny, urodziny, chrzciny, zaręczyny, zaślubiny, pogrzeb, a prócz tego, cokolwiek się zdarzy, zaraz musi bć odpowiednio zakropione i oblane. A jak niema okazji, to trzeba wypić, aby była okazja...

— O cóż więc chodzi?

— O to, że na święta wielkanocne każdy się kąpie, myje, strzyże. Każdy doprowadza do porządku swoje lary i penaty. Każda gospodyni czyści, pucuje i odkurza, co może. Każde podwórze jest zamiecione, każda klatka schodowa lśni czystością. Każde mieszkanie, każda izba, bogata czy uboga, błyszczy odświętną jasnością. Każdy brudas i niechluj choć raz na te kilka dni przeistacza się w człowieka czystego i chlujnego...

Zaskoczył mnie swoją tyradą.

— Tak, tak, widzę, iż nie spodziewałeś się, jakie są powody mojego żalu, że święta wielkanocne wypadają tylko raz do roku. Przydałyby się co tydzień. Więcej zużywalibyśmy mydła, więcej wody do mycia. A to jest przecież sprawdzian istotnej kultury...

Czyż nie ma mój przyjaciel racji?

GOŚCIE W STOLICY... Tym razem nie obcy, lecz swoi.

Młodzież kaszubska na czele ze staremi wilkami morskiemi, rybakami z pobrzeża naszego, zjechała do stolicy, z otwartem sercem witana przez specjalny komitet.

I trzeba było posłuchać, jak pięknie i płomiennie przemawiał w imieniu Kaszubów stary rybak z Jastarni, p. Dawid Długi.

— Polska jest! Jest cała z morzem... Fale Bałtyku nad Gdańskiem i Gdynią od wieków mówią po polsku... Trzeba tylko umieć się wsłuchać i odczuć, co mówią.

Z każdego słowa bił żar patrjotyczny. Tak mówić i czuć umieją tylko prawi i wierni synowie Ojczyzny.

Wycieczka kaszubska trwale zapisała się w kronikach naszej stolicy.

ROZPASANIE MORALNE... Znowu ohydna zbrodnia wstrząsnęła sumieniem wszystkich ludzi, którzy nie zatracili jeszcze resztek jego w ponurem rozpasaniu powojennem.

Niedawno rozegrał się epilog krwawej tragedji ze ś. p. Hubertem Linde, twórcą P. K. O., człowiekiem nieskazitelnej uczciwości i wielkiej zasługi, gdy oto mamy do czynienia z analogiczną ohydą, której ofiarą pada zasłużony prezydent miasta Łodzi ś. p. Marjan Cynarski.

I doprawdy krzyczeć chciałoby się z bólu, że tak krwawo i podle zapisują coraz karty odrodzonego życia.

Nie może tak być! To już nie sporadyczny wybryk, ohyda zaczyna wchodzić w zwyczaj, staje się metodą. Obyczaje, chyląc się po pochyłej równi, staczają się w dół kloaczany.

Musi się znaleźć kaganiec na bestję ludzką, musi być ujarzmiony zwierz, czający się w różnego rodzaju degeneratach, pozujących na mścicieli i bohaterów.

Co ich pomnaża, co podsyca niekczemne instynkty? Rozpolitykowanie ciemnych mas, które o abecadle nawet nie mają pojęcia, a pchane są do sądzenia i rozstrzygania najbardziej zawiłych zagadnień zbiorowego życia. A także prasa, ta obliczona tylko na sensację i efekt, szczująca i judząca, odzierająca z honoru i czci wszelką zasługę, weszelki talent i wszelką pracę. Niestety, tych szmat, mieniących się pismami, mnoży się coraz więcej i demoralizuje szeroki ogół, wychowując wśród niego moralnych bandytów i zbrodniarzy.

Wielki czas uderzyć w dzwon alarmu i stosować wszelkie środki, by wyrwać z korzeniem puszący się chwast zła i upadku!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY... Z szeregów wybitnych szermierzy sprawy robotniczej ubył redaktor naczelny „Robotnika", organu Polskiej Partji Socjalistycznej, poseł dr. Feliks Perl.

I co było znamienne, a, niestety, tak rzadkie w dzisiejszych czasach, gdy antagonizmy i waśnie partyjne górują często ponad wszystkiem, że wspomnienia pożegnalne, poświęcone zmarłemu na łamach prasy wszelkich odcieni, z całem uznaniem podkreśliły jego zasługi i cnotę obywatelską niezależnie od sympatyj czy przeciwieństw politycznych.

Podkreślamy ten fakt, jako objaw zdrowy, gdyż niezawsze wolno mierzyć ludzi, ich życie i czyny łokciem partyjnym, a walka o ideały i przekonania może się odbywać nawet bardzo gorąco, lecz bez maczugi.

PRZY KOMINKU

Przykre przeważnie figury nasyłała nam biurokracja rosyjska do kraju.

Taką niemiłą, odrażającą nawet osobistością był ów Bajkow, urzędnik do szczególnych zleceń przy Nowosilcowie, o którym Mickiewicz pisze w Dziadach:

> Patrz, jak się Bajkow, Bajkow rucha,
> Co to za mina, co za ruch.
> Skacze, jak po śmieciach ropucha
> Patrz, patrz, jak wydął brzuch,
> Wyszczerzył zęby.........

Każdy z tych dygnitarzy miał również swoje śmiesznostki.

Bajkow, pies na usługach Nowosilcowa, mówiąc o nim przy Polakach, używał zwykle zamiast zaimka „on" zaimka „my": „my to, my tamto, nasz kucharz, nasze konie" i t. p.

Zapraszając któregoś dnia kogoś z Polaków na obiad do Nowosilcowa, Bajkow rzekł poufale:

— Przyjdźże pan do nas dziś na obiad...

— Niestety, nie mogę — otrzymał odpowiedź. — Proszony jestem przez Jego Ekscelencję senatora Nowosilcowa.

*

Zahukani przez satrapów moskiewskich ludzie tego czasu ulegali często i bez potrzeby najdzikszym ich fantazjom.

Oto zdarzyło się, że, gdy Nowosilcow w 1819 roku wyprawił bal w słynącej z przepychu rezydencji Ogińskich w Słonimiu, gospodarz zażądał, by cała zebrana z nowogrodzkiego i wołkowyskiego szlachta płynęła po parkietach w trzewikach i pończochach. Skądże ich dostać tak nagle? Postanowiono zatem zamienić buty na balowe trzewiki, odrzynając cholewy. Niezbyt elegancko wyglądała szlachta w tym cudacznym stroju, a nogi, przybrane w te pseudopantofle, przypominały, jak mówi współczesny pamiętnikarz, zgoła chorobliwą cechę „elephantiasis".

Śmieli się Rosjanie i ze śmiechem notowali to zdarzenie w „Ruskim Archiwie".

*

Od czasu, gdy stało się wiadomem, że jeden z cesarzów rosyjskich, osobiście przyjaźniących się ze znanym ziemianinem podolskim, Orlowskim, razem bowiem służyli za młodu w jednym z pułków gwardji, odwiedził go w majątku w okolicach Jarmoliniec, każdy z gubernatorów poczytywał sobie za obowiązek odwiedzać progi, gdzie monarcha był gościem.

Zjechał tedy gubernator Bezak do Orłowskiego, który ze znaną kresową gościnnością podejmował go szeroko.

Pod koniec obficie zakrapianego obiadu znakomicie ożywiły się humory.

Dowcipy i anegdoty krzyżowały się w powietrzu.

Również i Bezak chciał powiedzieć coś dowcipnego i w te słowa ruszył, zwracając się do gospodarza domu:

— Przyznać trzeba, kochany hrabio, że historja wasza była od samego początku dziwnie ponurą. Pierwszego wszak króla waszego myszy zjadły...

Niezbyt miłe wrażenie wywarło to niezdarne odezwanie, większy natomiast efekt osiągnął słynący z bystrości umysłu Orłowski w replice, którą bez namysłu wypalił:

— Może Ekscelencja ma rację. Nie wspominasz jednak o gorszem zdarzeniu, które spotkało ostatniego naszego monarchę — jego przecież świnie zagryzły...

Mówiono później, że, gdy Bezak skarżył się cesarzowi na szowinizm Polaków, uniemożliwiający utrzymywanie stosunków towarzyskich, monarcha, ceniąc sobie nadewszystko przyjaźń Orłowskiego, wziął tym razem stronę Polaków, zalecając Bezakowi, by z większym taktem na przysłość stosował historyczne koncepty.

*

W pewnej sprawie, toczącej się za czasów dawnego sądownictwa polskiego przed 1876 r., jeden z obrońców zwrócił się do sądu z repliką na żądania strony przeciwnej, pragnącej nie dopuścić dalszego badania świadków:

— Zdaniem Carrégo (wybitny komentator francuski) niema zasady do niedopuszczenia dalszego badania świadków.

Na to odciął się stary rutynista, obrońca strony przeciwnej:

— Wysoki Trybunał ani karego, an bulanego słuchać się nie potrzebuje, bc jakże koń uczyć może sędziego?...

*

Znakomity swego czasu mecenas Zygmunt Krysiński poza swemi wielkiemi zaletami był jednocześnie weredykiem i nigdy nie bawił się w dyplomację. Pewnego razu jeden z jego kolegów, mając bardzo zawikłaną sprawę, uformował bezzasadny proces i, nie mogąc wyjść z trudnego położenia, przyszedł do Krysińskiego z prośbą, aby zechciał przejrzeć akta sprawy i poradzić mu. Krysiński poprosił kolegę, aby mu zostawił akta do przejrzenia, i obiecał mu służyć radą. Gdy w kilka dn



Ze starych rycin: W słynnej gargotce Janka w Paryżu gromadzili się nasi ojcowie i dziadowie, którzy emigrowali po powstaniu roku 31 z kraju.

potem kolega ów zgłosił się u Krysińskiego po odpowiedź, Krysiński, zwracając mu akta, odezwał się:

— Jaka to szkoda, żeś kolega nie był członkiem Rządu Narodowego w 1863 roku!

— A cóż to ma za związek z moją sprawą? — zapytuje zdziwiony adwokat.

— Bardzo prosty — odpowiada Krysiński. — Gdybyś był członkiem Rządu Narodowego, toby cię powiesili i nie mógłbyś tak niemądrego procesu wykoncypować!

*

W listach z 1839 r. Seweryna Malinowskiego, jednego z pionierów polskiej sztuki teatralnej, znajdujemy pełny humoru opis żałosnego, a nawet tragicznego romansu niejakiego Pokrasy, członka jego wędrownej trupy.

„I tak Pokrasa zaszargał się nieborak po uszy w Lucynie, lecz gdy ta obojętnie go przyjmowała, groził jej, że się otruje, pokazywał pannie nawet noszoną przy sobie flaszeczkę — zapewne z barszczem — a kiedy i to nie pomogło, przedsięwziął powoli zniszczyć siebie w nadziei, że okrutne serce zmiękczy się, a oczko łezkę uroni. Jakichże do tego używa środków? Oto stara się zamrozić. Osobliwszy pomysł! Szczupak, zimą zamrożony dla konserwy... bardzo dobrze, ale kochanek zamrożony? Wątpię, żeby której przydał się na co. W czasie więc najtęższych mrozów, przeszło 20 gradusów, jakie tu z początku marca bywały, zwijał się ciągle po mieście, po trzy godzin bawił w kościele i to w jednym surduciku, wiatrem watowanym. Dopuśćmy, że nie miał płaszcza, ależ miał wzór ze mnie, który po stracie mojego, anim nosa nie wytknął za drzwi...

Przymówki na kwiecień

Na świętego Marka

Święty Marek rzuci do wody ogarek.

Święty Marek poszedł na folwarek,
Oglądać żytko, czy zeszło wszystko ..

Na Świętego Marka —
Późny siew owsa,
A wczesna tatarka...

W dalszym ciągu Malinowski opowiada, jak Pokrasa raz po razie na życie się porywa, to ocet pije butelkami, to do wody wskakuje. Biedny amant choruje, zapalenie płuc, krwotoki, wzywają lekarzy, lecz „chory żadnych leków nie przyjmuje i tylko śmierci wzywa". I tu wreszcie umyślił Malinowski ratować go jedynym argumentem, jak się okazało, zupełnie skutecznym: oto młody aktor miał występować w roli, o którą był dziko zazdrosny, tak pragnął, by jemu tylko przypadła w udziale; Malinowski przeto zapowiedział sztukę w przyspieszonym kilkudniowym terminie, i Pokrasa energicznie wziął się do leczenia. Tak więc biedny chłopczyna, co dla kochania chciał umrzeć, dla roli odżyć zapragnął.

„W istocie przyszedł do zdrowia, lecz mocno na siłach osłabiony, a doktór nie czyni nadziei, aby mógł dalej nad rok pociągnąć. Pokazuje się stąd, że marzec dobry jest dla wyrobu piwa, wódek, wędlin, lecz nie dla amantów, i dlatego to zwykle marcowi kawalerowie, jakkolwiek jurni na oko, w gruncie djabła warci. Ledwie z wielką biedą pozbyłem się takich, co zalewali się wódką, licho mi nadało takich, co zalewają się octem...

*

W „Djarjuszu" z 1607 r. kupca i rajcy nowosandeckiego, Jana Tymowskiego, znajdujemy pełny żywego humoru podział dłużników na kategorje. Pierwsza kategorja — to „długi domowe od lat dziesięci", druga — to „długi starych łotrów", wreszcie trzecia opisana jest w następujący sposób: „starzy dłużnicy, jakoby też ze starych snopów gorzałka".

Jakby też Tymowski określał dzisiejsze czasy, gdyby mu danem było wstać z grobu?

*

Madame de Stael, znakomita pisarka francuska, pogniewała się poważnie z vicomtem de Choiseul za złośliwe epigramy, które o niej napisał. Jednego dnia jednak spotkali się w towarzystwie i przypadek zrządził, iż podczas kolacji musieli usiąść obok siebie. Dla zachowania pozorów rozmowa była nieuniknona.

— Dawno już pana nie widziałam — rzuciła oschło pani de Stael.

— Ach pani łaskawa, byłem ciężko chory...

— Rzeczywiście? Choroba była niebezpieczna?

— Straszna. Zatrułem się śmiertelnie jakimś nieznanym jadem...

— Okropność... A czy pan przez nieostrożność nie ugryzł się we własny język?

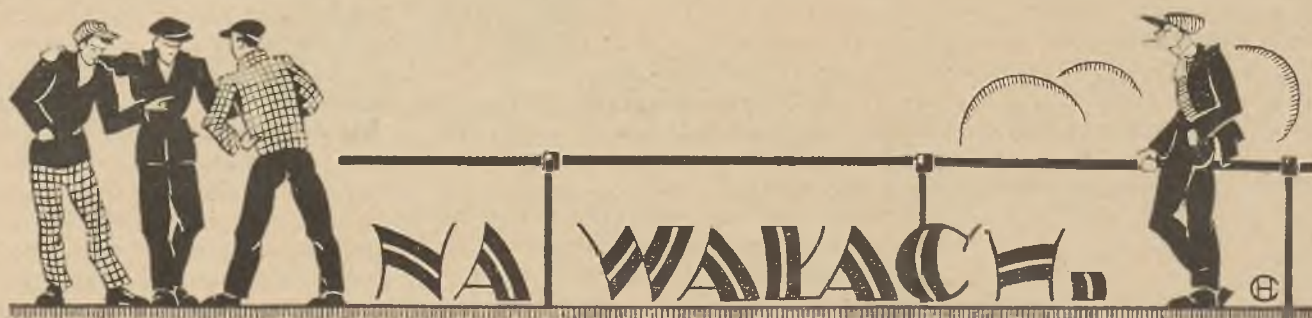
Dowcipna nauczka oszołomiła tak złośliwego pamflecistę, że nie zdobył się na odpowiedź.



Ze starych rycin: Traktjernia „Pod Słońcem", prosperująca latem na placu Zamkowym w Warszawie. Sprzedawano gorące kluski po 6 groszy za porcję.

Do niniejszego numeru dołączamy dla Prenumeratorów 5-y arkusz powieści p. t. „Tajemnica pokoju Nr. 17.".

HERMAN CZERWIŃSKI.



Oryginalna nowela młodego autora żywo odtwarza charakterystyczny obrazek z życia nizin społecznych, gdzie rozpętane instynkty nie znajdują ani hamulca ani umiaru.

Pogasły latarnie uliczne. Przechodniów można już na palce liczyć. Stolica śpi. Mroczna zasłona zawisła nad całem miastem. Jacyś ludzie spóźnieni, jacyś senni i znużeni suną po ulicach, niby cienie. Cicho, głucho. Nad samą Wisłą jeno, na wałach, zebrała się teraz komponijka i radzi, i zamyśla, co robić.

Sesja...

Jest tam „ferajna", znana i głośna w kronikach policyjnych. Ludzie, których o zawód i stanowisko wcale pytać nie potrzeba. Wystarczy na twarz spojrzeć. Twarz wskazuje wszystko jasno i wyraźnie, kto zacz, kim jest jej prawy właściciel. Twarze same mówią. Któż to, jeśli nie złodzieje?

— Złodziej, złodziej jestem! — odpowie każdy z nich. — To i cóż że złodziej? Także człowiek, także wolno mu żyć. A że złodziej, to trudno, to już taki mój fach i klawo jest. Małe, ale dobrane towarzystwo... Jest Żeberko, dobry klawisznik, Cytrynka-doliniarz, Organek-fachowiec od wytrychów i zamków i innych rzeczy „Hugo-Warjat" chłop, że tylko do rany go przyłożyć, z zawodu pajęczarz, z tuzin razy wyrokowany, jest i Dziobak, sprytny i odważny, jest i „ulubienica" jego, Wikta, dziewucha z gębą od ucha do ucha, wesoła, cwana i na „robotę" zdatna, dziś jeno jakoś inaczej, niż zazwyczaj, usposobiona... Towarzystwo — pierwsza klasa! Są i statki, i wytryszki, klucze, świder, łom, worek, liny. Cały arsenał. Wszystkie rekwizyta w pogotowiu. Zebrali się tedy wszyscy dziś na wałach pogadać ze sobą, jak się patrzy. Zwyczajnie, mają też swoją sesję.

Sesja...

— A no, uważacie — rozpoczął Żeberko.

— Żeberko, Żeberko ma głos! — odzywa się głośno Organek.

— Co mi tam z tego gadania. Taka mowa to je frajerska. Grunt, że bida w kraju!—peroruje Hugo-Warjat.

— Nie przerywaj, do pięknej Heleny, kiedy ja gadam. Abo ty gadasz abo ja gadam, abo się przymknij na parę pięć minut. Zawsze masz jakiś „pętacki" zwyczaj. Warjat! Patrzcie no go! — gniewa się Żeberko, a po chwili kontynuuje. — Jest tera jeden wielgi feler. Tak dalej, chłopcy, to być nie może. Trzeba co na to poradzić. My tu zdechniemy w tej Warszawie.

— Jest źle, jest bardzo źle! — ma głos Cytrynka-doliniarz. — Policja nas męczy i gnębi i nie da nam żyć, jak ta cholera. A przecież do choroby ciężkiej jest konstytucja abo jej nima. Jak Pana Boga tego przecie jest wolność obywatelska. Abo jest, abo jej nima? Abo jest wolność stanu i zawodów, abo jej nima? Niech my wiemy, co jest? Co jest?

— A ja wam powiadam — radzi Organek — że najlepiej to byłoby dać drapaka z tej Warszawy. Tak nas tutaj ganiają, mordują, że wyżyć trudno. Ja tobym dał chodu.

— Ja to się nic nie martwię! — tłumaczy Cytrynka-doliniarz. — Ja tam wiem, że dla mnie gdzieś odłożony jest skarb, że ktoś tam sobie składa i odkłada pieniądze. No nie? Dla mnie, jak Bozię kocham, dla mnie. No nie? A ja sobie tam przyjdę, i frajerowi zabiorę, co moje. Jak Bozię kocham — tak! No-nie?

— Słuchajcie, co ja mówię. A co mówię, to wiem — basuje włamywacz Dziobak. — Te całe gadanie wasze to taka trajla-majla, to takie frajerskie „ele-mele" i „cerygiele". Sześciu groszy nie warte i do pomyślenia nie podobne. Co wy chceta? Czego wam się zachciewa? Chcecie rewolucję jakąm zrobić, czy co do pioruna jasnego? Chcecie, żeby wam może policja „rozreszyła" chodzić na klawisz, jak do cioci Malinowskiej na „gaz"?

— Jaki mądry się zrobił! — odzywa się Żeberko. — Jaki mądry, jaki „pyskacz". A co? Może dobrze jest, powiesz? A wisz ty, co to kon-sty-tu-cja? Abo jest, abo jej nima. To niech policja nas się nie czepia, bo...

— Bo co? — odpowiada Dziobak — Bo możesz im najwyżej palcem w bucie pokiwać. Najgorzej, jak co wiencyj. Policja jest od tego, żeby nas łapać, a my od tego, żeby kraść. Inego handlu nima. Kajne gadanie.

— Dalibyśta pokój! — wtrąca się Wikta. — Takeście sie rozklekotali jak w jakim maglu. Stulcie mordy bo was tu kto jeszcze wykapuje. Słuchajcie lepiej, co wam Wikcia powie! Ja to chciałam wam powiedzieć, że ja ta z wami już robię szlus. Szlus! Cha, cha, cha!... I to dzisiaj. Wypijemy na ostatek. Mam gorzałę, dwie flachy, o! i salceson, a jakże. Dobre jesteście chłopaki, ale ja sobie pójdę od was. Jadę na wieś bo tam po mnie pisali. Dawniejszy chłopak...

Ta wiadomość zelektryzowała wszystkich. Niczem wybuch, niczem grom. Bez Wikci to jakby grandzie całej ucięto ręce.

O Wikto! Dziewucha jurna była, „kundas-dziewucha" — jak ją zwali. Aż tu djabli nadali. „Feler", „feler"!

— Wikta!...

Jeden tylko Dziobak-włamywacz na serjo o niej myślał. Głowę w dół opuścił. Robił wrażenie, jakby nagle pod wpływem zapowiedzianej rozłąki Wikty z nimi wszystkimi, no i z nim, osłabł i zmalał. Pochmurniał. Na zwyrodniałej jego twarzy osiadł smutek. To z oczu, to z twarzy mu patrzy. Z każdego kąta, z każdego ruchu. Wreszcie zmężniał i, podniósłszy się, czai się do Wikty. Za rękę ją chwycił i pyta:

— Ty! Dlaczego jadziesz? Dlaczego?

— Ty!? Teraz? Dziś?

Mówił, a słowa mu drżały, latały nerwowo. Nic więcej nie mógł na-

prędce powiedzieć. Coś go tak ścisnęło, w kleszcze chwyciło i nie pozwoliło nic więcej mówić. Wikcia była jego. On teraz bez niej, to jak bez prawej ręki. Do żadnej z dziewek głowy nie ma, a do niej tak: rano i wieczór, dzień i noc, świątek i piątek. Zawsze. Ona, ona, ona!

— Już dziś?! — pyta Dziobak.

W oczach ma ogień, w oczach ma piekło gniewu.

— I czego takie gały na mnie wywalasz? — biorąc się za boki, krzyknie Wikta. — Ślub ze mną brałeś, czy co? Ja cię nie znam, ty mnie nie znasz i już. Co było, to i było. Nie przyszłam tu, żeby z wami tam jakie koszałki opałki odprawiać. Mówię prosto z mostu. Jadę, bo tak chcę, jadę, bo nie chcę wiencyj się tem zajmować. Na! pijcie! Teraz ja pierwsza i tak po kolei, potem znów ja pierwsza i tak po kolei. Dziś chcę pić. Potem, kiedyś się poprawię. Jadę na wieś. Pisali.. Dawniejszy chłopak... Może ślub?...

— A ja, a ja? — pyta Dziobak, cały w nią wpatrzony, jak w jaki obrazek, jak w jaką malowankę.

— Ty, ty? Nic, nic! — odpowiada Wikta. — A co ma być? Mam całe życie w takiem życiu być? Twoja — jak sobaka jaka? Chcę się wyrwać. Chcę także jenszego życia. Na, pijcie i zapomnijcie o Wikcie, bo Wikcia wieje od was. Pijcie! Wikcia chce sobie karjerę poprawić. Ze wsi do mnie pisali. Siostra i szwagier: a przyjedź ty glupia, tak w liście pisze, przyjedź, nie pożałujesz. My ci zginąć nie damy, ino módl się i pamiętaj. Tak w liście pisze. Pomodliłam się dzisiaj. Jadę. Na, pijcie!

Pili wszyscy po kolei. Jeden Dziobak nie spojrzał nawet na butelkę, tylko ręką machnął na znak, że pić nie będzie.

— To my ładne dziś sesje mamy! — kiwa głową Żeberko.

— Dziobak bez niej, to chyba zdechnie! — mówiCytrynka-doliniarz.

— Zdechnie nie zdechnie, a z kobitą nic nie zrobi — komentuje Organek, wychylając flachę przytem do dna.

— Wikta, twoje zdrowie! — woła Hugo-warjat. — Zostań, jak cię kocham. Czasy się poprawią i będzie bal. Zostań! A nie masz tam czasami wiencyj do wypitki? Takbym tera wypił i co zjadł. Zostań, Wikta, z nami! Takeś się już spasowała z nami, jak dwa razy dwa. Zostań!

— Nie ostanę! — mówi stanowczo. Przyszłam tu do was, żeby się pożegnać z wami. Ja chce inszy chleb jeść. Złodziejstwo to mi za gardziel już wlazło. I ja wam radzę to samo. Przecie ludzie jezdeście.

— Łatwo powiedzieć! — odpowie mocno podchmielony Hugo-warjat. — Szkoda, że nie wszystką wódkę wychleli, psubraty. Wódka — ot co! Reszta — to niucha tabaki nie warte. Myśmy ludźmi nie byli, to i ludźmi nie będziem. Co nam po ludziach? A ty tego, Wikta, uważasz tego, nie rób kawałów i duraka nie walaj. Zostań z nami.

— Zostań! — powtórzyli za nim: Żeberko-klawisznik, Cytrynka-doliniarz, i Organek-fachowiec od wytrychów i zamków. A w ich głosach, choć przepitych alkoholem, w tem ich kolejno powtórzonem „zostań" drgała nuta prośby, drgała nuta żalu za kimś, kto ma ubyć, kto ma pójść na zawsze. Jeden tylko Dziobak nic nie mógł przemówić. O! żeby znalazł był jaki dobry wytrych, żeby nim otworzyć mógł serce swoje i żeby mógł pokazać je Wikci, że ona to w niem jest, jak królowa jaka, to wtedy, wtedy to może nie porzuciłaby go, jak psa. O gdyby serce jej pokazał, to wówczas serce samoby mówiło, samoby wyśpiewało, samoby wygłosiło... Wszystka krew uderzyła mu do głowy, wszystkie nerwy się sprzęgły, rwały go, szarpały i targały nim z całej mocy...

Na wałach cicho dziś jak nigdy. Słychać tylko muzykę fal wiślanych Światełka jakieś migocą i lecą. Jakaś łódź odpływa, już jest daleko, widać jakąś dłoń, żegnającą z dali wszystko i wszystkich.

Przywidziało się Dziobakowi, że widzi dłoń Wikci, która rozstaje się z nim na wieczne czasy i oddala się szybko, jak ta łódź... Przetarł oczy... Silny i odważny osłabł na wieść o utracie kochanki swojej. Wreszcie, niemal że chwiejąc się na nogach, wziął ją na bok i mówi z nią.

— Zostań, Wikta! — bełkocze Dziobak. — Zostań! Zobaczysz, pójdziem na taką jedną robotę, że złoto i brylanty, jak Pan Bóg da, zarobię. Odam ci wszystko. Kupisz se, co zechcesz. Jak pani będziesz ubrana. Jak pani będziesz ładna. Będziesz jedwabie chciała, dam ci jedwabie. Będziesz chciała pierścienie, dam ci pierścienie. Będziesz chciała brylant, dam ci brylant Będziesz chciała lakierki, dam ci lakierki. Mam tu jedną taką robotę na widoku, że Boże mój! Będziem, jak te dwa gołąbki żyli. Zostań! zostań!

— Nie zostanę! — wrzasnęła Wikta i z całych sił próbuje wydostać się z krępujących ją żelaznych objęć jego.—Nie! Jak mówię, że nie, to nie! Póńdę tam, gdzie mnie chcą, gdzie mnie kochają!

— Toć przecie i ja ciebie kocham! — wyznaje jej Dziobak i znów chce ją wpół objąć.

Wikcia szamoce się z nim. Wyrywa się z jego więzów miłosnych i ucieka.

— Takie złodziejskie kochanie, to żadne kochanie! — woła Wikcia.

Zwierz, z dzikich puszcz zwierz obudził się w Dziobaku. Pobiegł za nią, za ręce ją, nawpół omdlałą z bólu, ciągnął do siebie, do towarzyszów.

— Nie, nie, nie! — krzyczała, ale już głosem jakimś wewnętrznym

I echo na wałach wiślanych powtarzało:

— Nie, nie, nie!

Wlókł ją po ziemi, jak psisko jakie, ku uciesze kolegów, ku ich zadowoleniu, ku ich zabawie.

— Tu, gdzie ja będę, tam i ty będziesz, cholero! — syczy zbrodzień.

— Nie, nie, nie! — słychać głos protestu.

— Nie, nie, nie! — wtóruje echo wiślane.

Wszystkie ognie zapaliły się w jego mózgu. Dziki, szalony. Na wargach bieliła mu się biała piana. Ani siebie ani nikogo nie widział. Nic i nikogo nie słyszał. Czuł tylko, że w ręku ściska nóż sprężynowy, a za chwilę bluznęła już krew. To Wikci krew, ulubienicy jego Wikci strumienie żywe.

— Nie, nie, nie! — idzie jakiś głos

— Nie, nie, nie! — szepce echo wiślane.

Rozbiegła się granda. Jakiś apasz gwizdnął przeciągle i donośnie, jakby na alarm, jakby światu chciał donieść, że Wikcia już nie pojedzie, już nie pojedzie...

Jakaś łódź zawiezie ją w bezpowrotną toń.

...Na wałach wiślanych jęczy dziś istnienie ludzkie. A fale płyną, fale szemrzą, fale prą. Naprzód, naprzód... W głębię niezbadaną.



ANDRE BIRABEAU (Tłum. Karolina Solska)

Czekam na panią...

— Pani spogląda na zegarek? Może pani myśli, że nie odgaduję, że na panią czekają? Ale pomimo to nie przerwę mego opowiadania o przygodzie pani Tourrettes.

*

— To bardzo ładna kobieta, ta pani Tourettes. Nie tak ładna, jak pani, ale niemniej bardzo pociągająca. Zamężna! Jest bardzo szczęśliwa, ale któregoś dnia zjawił się ten drugi. Cóż takiego powiedział jej ten człowiek? Czyż mówić pani o tem — pani i tak to wie. Powiedział dosłownie to samo, co pani słyszała od człowieka, który tam gdzieściś oczekuje panią teraz. A z jakim zapałem, z jakim ogniem, z jaką namiętnością mówił jej te rzeczy. Przez pewien czas pani Tourettes słuchała tych wynurzeń, bo... mój Boże! takie rzeczy nigdy nikomu nie sprawiają przykrości, lecz wreszcie, gdy słowa jedynie nie mogły starczyć za odpowiedź, oświadczyła mu stanowczo: „Drogi panie Chatonnay, rozmówmy się szczerze. Lubię dokładność. Odziedziczyłam to po mojej matce, która kiedyś notowała wszystkie otrzymane zaproszenia i oddane wizyty. Ja tego nie robię, ale wiem dokładnie, co jestem komu winna. Jestem szczera ze szczerymi, uszczypliwa ze złośliwymi. Odpłacam zawsze tą samą monetą. Zdradziłabym mego męża, gdybym wiedziała, że on mnie zdradza, ale — rzekła z lekkiem westchnieniem — dotychczas jest mi wierny. W dniu, w którym się dowiem, że jestem zdradzona — zemszczę się. To wszystko, co panu przyrzec mogę. Pan mi się bardzo podoba, ale chwilowo nie będziemy się widywali, bo pańska obecność denerwuje mnie...

*

Było to bardzo jasne. Pan Chatonnay zrozumiał, że jego płomienne słowa na nic się tu nie zdadzą, więc rzekł:

— Zgadzam się na wszystko. Powiedziała pani słowa, które dają mi promyk nadziei. Cierpliwie będę czekał na panią.

Trochę później — bardzo niewiele czasu upłynęło od tej rozmowy— pan Tourrettes popełnił głupstwa, a pani Tourrettes dowiedziała się o tem. Dowiedziała się o tem o dziesiątej rano, a o jedenastej wyszła z domu, by udać się do pana Chatonnay i spełnić swą obietnicę. Co czuła idąc? Interesuje to panią, co czuje kobieta w takiej chwili? Była troszkę zmieszana, troszkę zła, a troszkę... zadowolona. Zmieszana, gdy myślała o człowieku, dla którego była wszystkiem, zła, gdy myślała o mężu, dla którego przestała być czemkolwiek. Jednocześnie wzdychając myślała o tem spokojnem szczęściu, które się już skończyło, i o tej gwałtownej namiętności, która się rozpoczyna. Ach! ci mężowie!

*

Im bliżej jest mieszkania pana Chatonnay, tem mniej myśli o mężu, a coraz więcej o kochanku. Czy przed zdradą swego męża nigdy nie myślała o kochanku? Mnie się zdaje, że tak. A co pani o tem sądzi Kobieta wie, że tam gdzieś zdala jest człowiek, który ją pożąda.. mówił jej to nieraz gorącemi słowy... któremu nakazała cierpliwość i który rozkazu jej posłuchał! Człowiek ten żyje nadzieją tej chwil kiedy mu powie: „Oto jestem!" Czyż to nie jest przyjemne i pochlebne móc sobie powiedzieć „Gdybym zechciała tylko, człowiek ten stałby się bezgranicznie szczęśliwym!" Co tu dużo mówić, przez te cztery miesiące oczekiwania pani Tourrettes często, bardzo często myślała o panu Chatonnay i dzisiaj czuła w sobie więcej radości, aniżeli smutku.



— Czy tu mieszka pan Chatonnay?

— Na parterze, na prawo — brzmi odpowiedź portjera.

— Pewnie prawdziwie kawalerskie mieszkanie — myśli sobie pani Tourrettes.

Drzwi otwiera kobieta. Kobieta ładna, nawet bardzo ładna, młodziutka, może dwudziestoletnia młode stworzenie, które bawi się w panią.

Pani Tourrettes omyliła się widocznie. Jakie to przykre omylić się, gdy się idzie do kawalerskiego mieszkania.

— Pani zechce mi wybaczyć... to jakaś omyłka... pan Chatonnay mieszka zapewne naprzeciwko.

— Ależ nie, mieszka tutaj. Mój mąż właśnie wyszedł. Ale proszę, niechże pani wejdzie. Z kim mam przyjemność?

Pani Tourrettes jest tak zaskoczona, że mimowoli mówi swoje nazwiski.

— Ach, pani Tourrettes. Jakże się cieszę, że poznałam panią. Wiem, że mąż pani jest przyjacielem mego męża. Proszę, niechże pani siada, i proszę mi wybaczyć, że tak panią przyjmuję, ale nasze mieszkanie jest jeszcze niegotowe i chwilowo zajęliśmy kawalerskie mieszkanie mego męża, gdzie wszystko szwankuje. Cieszę się, że panią poznałam, będziemy dobrymi przyjaciółmi, nie-

prawdaż? Nie, nie puszczę panią, mój mąż nigdyby mi nie darował, gdybym pozwoliła pani odejść, zanim on wróci.

Ale biedna pani Tourrettes chce odejść, odejść jaknajprędzej. Wstydzi się, ma ochotę płakać. Bojaźliwie rozgląda się wokoło. Mieszkanie wygląda, jak obóz: meble w pokrowcach, wielki nieład... na podłodze jakieś kobiece drobiazgi, wyrzucone z nawpół rozpakowanego kufra.

A więc to jest to gniazdko, o którem marzyła przez cztery miesiące, wierząc, że on z niecierpliwością czeka tam na nią. Przecież w myśli widziała już nawet całą scenę przywitania: jego bladość, gdy ją zobaczy, pierwszy pocałunek w przedpokoju i bezładne słowa miłości:

— Nareszcie! Gdybyś wiedziała, jak strasznie za tobą tęskniłem... Codziennie mówiłem sobie: „Może dzisiaj przyjdzie?"... Gdybyś wiedziała, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo cierpiałem!

Wkrótce nadchodzi pan Chatonnay i nawet niebardzo jest zdziwiony jej obecnością. Ona zmieszana bąka jakieś słowa tłumaczenia, w które on natychmiast uwierzył i mówi: „Cieszę się bardzo, że mogę pani przedstawić moją żonę", przytem patrzy na swoją żonę z wielką, wielką czułością. Zapomniał... Przysięgam pani, że nie opowiadam pani tego wszystkiego, by panią nastraszyć, on naprawdę zapomniał. Może kiedyś znowu przypomni sobie, ale narazie wcale nie pamięta o tej starej historji z przed czterech miesięcy. Wrócił z poślubnej podróży i narazie na świecie istnieje dla niego jedynie jego żona. Jest dalekim... Ach jak bardzo dalekim od myśli, że ta pani, co siedzi tu w tym nieuporządkowanym saloniku i prowadzi bardzo banalną rozmowę przyszła tu, by...

Uśmiechnęła się konwencjonalnie a pani Tourrettes myśli ze ściśniętem sercem: „A więc to jest miłość?".

Oto historja pani Tourrettes. Pani jest jakaś spokojniejsza... pani nie patrzy więcej na zegarek, a przecież tam gdzieś ktoś czeka na panią... a może jednak dobrze się stało, że właśnie dziś opowiedziałem pani historję pani Tourrettes?

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

TRYPTYK

STROFA

Ofiarą Twoich Boskich mąk,
przez Twoje łzy przeczyste —
przez gwoździe, wbite w dłonie rąk,
odwieczny pękł przeklęty krąg
O Chryste — — —

Przez dar ofiarny Boskich ran,
przez Marji łzy srebrzyste —
cud przebaczenia był nam dan,
O Chryste — — —
O Chryste — — —

ANTYSTROFA

A Szatan w przestrzeń cisnął śmiech
jad splunął na zaranie . . . .
jak sztandar wzniósł on hardy grzech —
gdzie spojrzę, wszędy ślad twych wiech,
Szatanie — — —

Bluźnierstwy usian wiary spad,
trwa duchów szamotanie . . . .
na krzyżu w okrak ty-żeś siadł —
Szatanie — — —
Szatanie — — —

EPOD

Nie ziszcza się snów naszych czar—
Królestwo Boskie iste
zwycięstwa nie zna moc Twych wiar,
O Chryste — — —

Króluje zło, drży wieczny szloch,
najdroższych snów rozwianie — —
kiedyż upadnie moc twa w proch
Szatanie — — —
Szatanie — — —



Korzystając z feryj świątecznych, dzieci kaszubskie odwiedziły stolicę.



Wielkanoc... Choć wiosna tylko na kalendarzu, Antoś z Mańką używali na tradycyjnej huśtawce.

Fot. K. Pęcherski



Pan Prezydent Rzeczypospolitej jest zawołanym jeźdźcem, to też ze szczerą przyjemnością uczęszcza na wszelkie zawody hippiczne. Rozdanie nagród na konkursie 1 p. szwoleżerów.



Grupa uczestników oficjalnego polowania przedświątecznego w puszczy białowieskiej



W Moskwie tłumnie demonstrowano z okazji zdobycia Szanghaju przez „czerwonych-żółtych"



Tommy flirtuje, gdzie się da. Pokojowo nastrojona żółta piękność z Szanghaju wśród gentlemenów z angielskiego korpusu ekspedycyjnego.



W Moskwie odbył się ze zwykłym humbugiem Międzynarodowy Kongres zwalczania białego terroru



Mjr. Seagrave po szalonym wyścigu na 1000 konnym Sun Beam'ie.



Cudaczny ten straszak, to żołnierz w najnowszym ekwipunku, który chronić go ma przed wcale niepokojowemi pomysłami technicznemi, a mianowicie gazami trującemi.

TADEUSZ PIOTROWSKI



Orlę wraca do Paryża



Obiegają pogłoski, że prochy „Orlęcia", króla Rzymu, mają być przewiezione z Austrji do Paryża.

Cóż stoi na przeszkodzie, by miał się dokonać ten smutny obrzęd, który przynajmniej po śmierci, po stu latach zapomnienia, przywróci choć pozory monarszego dostojeństwa temu niedoszłemu następcy Wielkiego Imperjum?

Znikoma i teoretyczna raczej grupka bonapartystów nie odgrywa wszak dziś najmniejszej roli w życiu Francji, a tembardziej w polityce światowej.

Cóż może się stać?

Może tylko odnowi się w pamięci zwiedzającego Pałac Inwalidów, gdzie obok grobu Napoleona złożone zostaną prochy jego syna, dola tego nieszczęsnego młodziana, który, rodzica swego nie znając prawie, zawsze instynktownie tęsknił do niego i mimo wiosny życia, radości żadnej nie zaznawszy na tym świecie, błagał na łożu śmierci, by jak najprędzej przyszedł upragniony koniec.



Cesarzowa Marja Ludwika u kolebki następcy tronu

Wielka, niezapomniana i tragiczna epopea znajdzie swój epilog pod kopułą Inwalidów.



Król Rzymu, według portretu Lawrence.

Król Rzymu!

Ile nadziei wzbudziły narodziny następcy Wielkiego Cesarza!

Podczas uroczystości chrztu, Napoleon mimo, iż ściśle przestrzegał etykietę, niespodziewanie porwał dziecko na ręce i wzniósł je na cztery strony horyzontu, jak gdyby światu chciał pokazać swego następcę.

Zadrżał tłum obecnych na widok siły majestatu, tchnącej z tego spontanicznego odruchu. Zadrżał niemal cały świat na wiadomość o narodzinach Orlęcia.

Poza oderwanemi jednak porywami, dyktowanemi mniej przez miłość rodzicielską, ile przez wszechpotężną rację stanu, a nadewszystko niezwykle górną ambicję panowania, dziecko nie widywało ojca, matka też mu była obca, piastunka jedynie, pani de Montesquiou, zdrobniale zwana „Maman Quiou", obdarzała go miłością, wy-



Rozstanie w Fontainebleau: Cesarz wyjeżdża na wygnanie

pływającą ze szczerego niewieściego serca.

Racja stanu, a nie miłość ojcowska podyktowała szereg demonstracyj, które historja anegdotyczna przekazała nam wraz ze współczesnemi konterfektami orlęcia.

Wizerunki te asystowały przy bojach i zagrzewały oddanych Cesarzowi wiarusów do wiekopomnych czynów.

Miłość ojcowska czyż mogła znaleźć miejsce u człowieka, którego serce biło jedynie dla żądzy panowania, który otwarcie wyznawał, mówiąc o synu, iż „stanąć przecież życie nie może z powodu narodzin jednego dziecka", widząc w niem tylko następcę Imperjum, które nadludzką energją i genjuszem zbudował.



Przemianowany na księcia Reichstadt, Napoleon II w mundurze austryjackim

Na łożu śmierci Napoleon, wpatrzony w ten sam wizerunek syna, który asystował przy bitwie pod Borodinem, widział może również w nim tego tylko, który miał dzierżyć po ojcu berło panowania.

Taką również szczególną jest miłość syna dla ojca.

Gdy po dniach chwały przyszły dnie tragedji i bólu, opowiadają, że instynktownie wyczuwał je cesarski malec, myślą swą ciągle pozostając przy ojcu.

Gdy w 1814 r. ważył się wśród huku dział los Cesarza, król Rzymu obudził się pewnej nocy, i płacząc przywołał do siebie „maman Quiou".

— Widziałem ojca — płakał, tuląc się do swej przybranej matki. — Tak strasznie...

W dniu tym, jak się okazało, ubito konia pod Cesarzem, który ledwie z życiem wyszedł z boju.

Przyszły dni klęski, abdykacja i wyjazd z Fontainebleau, ostatniej rezydencji dworu.

Orlę się zbudziło i oświadczyło, że, gdy ojca nie stało, „on jeden rządzić będzie".

Przyszły dni wygnania, wszystko mu odebrano, pałace, zabawki, a wszystko, jak gniewnie twierdził malec, „to wina Blüchera, który nie wie, że to on będzie panem".

Na obczyźnie starano się zabić w dziecku wszystko, coby mu mogło przypomnieć ojca i Francję. Odebrano mu tytuł, oddalono świtę, która z panią de Montesquiou na czele nie opuszczała go na wygnaniu.

Gdy ostatnia z wychowawczyń, pani Soufflot, miała odjeżdżać, dziecko bez słowa podało jej resztę zabawek stamtąd, z Ojczyzny i, tłumiąc łzy, wybiegło z pokoju.

Protestował, gdy gwałtownie starano się zrobić z niego Niemca, płakał, ilekroć wspominał o ojcu, o którym nie miał żadnych wiadomości, nawet, gdy doszła wieść do Wiednia o śmierci Cesarza.



Śmierć Orlęcia w Schoenbrunie w 1832 r.

Dziecko smutnego przeznaczenia, mimo, iż wychowano go nawskroś po niemiecku, mundur mu włożono austrjacki, wmawiano podobieństwo do Habsburgów, pozostał zawsze Francuzem, całe życie wiernym instynkownym raczej uczuciom.

Gdy zmożony chorobą jakby poczuł nierówność walki z losem, który przyszedł wraz z życiem przeciąć pasmo gorących pragnień młodzieńczych, ostatnim tchem śmierć przywoływał do siebie: akt ostatniej abdykacji.

Żałosna postać młodego księcia, ofiary nieubłaganej Nemezis dziejowej, była współczesną narodzinom romantyzmu i, mimo różnych i odmiennych ideologji politycznych, natchnęła niejednego poetę, by skreślił tragedję króla Rzymu i niedoszłego cesarza Francuzów.

U tych, co głusi i niemi...

Wizyta „Famulusa“ w Instytucie dla głuchoniemych.



Instytut dla głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.

Instytut dla głuchoniemych święci w tym roku swoje 110-io letnie istnienie.

Inicjatorem jego był w r. 1817 Staszic, organizatorem zaś ks. Falkowski, który założył podwaliny pod istniejący obecnie jego gmach na Placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Dyrektorem Instytutu, zależnego bezpośrednio od Ministerstwa Oświecenia Publicznego, jest p. dr. Jarecki.

Uczniów liczy Instytut 210, z czego 126 mieszka w internacie, pozostali są przychodniami lub słuchaczami kursów wieczorowych. Na miejscu znajdują się warsztaty: drukarski, introligatorski, stolarski i szewski, w których pod fachowem kierownictwem majstrów zatrudnieni są głuchoniemi.

Pan Fr. Popiół, nauczyciel i wychowawca powyższej instytucji, na zapytanie moje, w jaki sposób odbywa się pierwsze nauczanie głuchoniemych, opowiada co następuje:

— Przez długi czas uważano, że niemożliwem jest, by głuchoniemy nauczył się mowy. Pierwszym, który osiągnął możność porozumienia się głuchoniemych drogą gestykulacji, czyli na migi, był Francuz, ks. L'Epée. Metodę zaś fonetyczną wynalazł w r. 1768 Niemiec, Samuel Heinike ,twórca pierwszego w Niemczech Instytutu dla głuchoniemych w Lipsku.

Początki nauki mówienia odbywają się w ten sposób:

Skoro tylko do naszego zakładu przyjęty zostanie nowy głuchoniemy, poddaje się go badaniom lekarskim. Badania te mają na celu sprawdzenie wrażliwości oraz stopnia rozwoju strun głosowych, nie u wszystkich bowiem niemych struny te są jednakowe. Rozpoczynamy naukę od wymawiania dźwięków wargowych. Pierwszym dźwiękiem jest litera „p“, którą uczeń, wzorujący się na układzie i ruchu warg nauczyciela, stara się powtórzyć. Dla porównania ruchów warg ucznia i nauczyciela jednocześnie służy lustro. Wraz z nauką mówienia odbywa się nauka pisania, która, zresztą, idzie o wiele łatwiej.

Po literach wargowych następują litery dźwięczne. Wymawiania tych liter, np. „r“, uczy się w ten sposób, że uczeń trzyma palcami za gardło nauczyciela i w chwili wymawiania przez niego litery odczuwa drganie. odpowiednich mięśni. W ten sposób odczuwa dźwięk, a następnie, naśladując rodzaj i sposób drgań gardła nauczyciela, uczy się wymawiania danej litery.

Trafiają się czasami, ale dosyć rzadko, głuchoniemi, obdarzeni bardzo spostrzegawczym wzrokiem, zdolnym uchwycić nawet najmniejszy ruch warg. Mogą nawet na pewną odległość zrozumieć drogą wzrokową czyjąś mowę.

— A jak panowie dają sobie radę z takiemi bardziej abstrakcyjnemi pojęciami, jak np. Bóg, tęsknota?

— Za pomocą rysunków i okre-



Głuchonieme uczenice przy robótkach ręcznych.



Głuchoniemi chłopcy z zamiłowaniem grają w szachy.

śleń pojęć zbliżonych, a przedewszystkiem dłuższych wykładów za pomocą gestykulacji, na migi. Starsze dzieci już na migi nie rozmawiają, mogą mówić.

— A jak dzieci zachowują się względem szkoły?

— Bardzo ją lubią, czują się przedewszystkiem w swojem środowisku i niechętnie ją opuszczają. Są tacy, którzy nawet na święta wolą pozostawać w szkole i nie wyjeżdżać do rodziców.

— A po ukończeniu szkoły jaką drogą idą normalnie?

— Oprócz nauki mowy, czytania i pisania uczą się rzemiosł. Warsztaty mamy na miejscu, każdy z uczniów może specjalizować się w jakiemś rzemiośle: w stolarstwie, introligatorstwie, a nawet w ogrodownictwie, co zresztą nie bardzo przypada im do gustu, gdyż zajęciu temu towarzyszy zazwyczaj osamotnienie. Poza naukami uczniowie mają do dyspozycji boisko, na którem odbywają się wszelkiego rodzaju gry i sporty. Ma to na celu połączenie wychowania fizycznego z nauką i pracą.

M. G.



Jak się odbywa lekcja mowy? Uczenica uczy się wymawiania dźwięku „r", trzymając nauczyciela za gardło.

Plebiscyt „Famulusa"

Jakich kobiet nie lubią współcześni mężczyźni?
Jakich mężczyzn nie lubią współczesne kobiety?

NIE LUBIĘ POZERÓW...

Nie lubię pozerów. Niestety typ ten tak jest rozpowszechniony wśród rodzaju męskiego, jak żaden inny. Strojenie się w pawie pióra jest nietylko właściwością niewiasty, która przeważnie woli pióra strusie.

I cóż pan taki zyskuje na swej pozie? Głupiutka gęś może narazie mu uwierzy i potraktuje go serjo, jednak tylko na chwilę, gdyż wszelka poza zdradzić się musi, ośmieszając pożera jak cyrkowego pajaca.

Gdybyż tak niejeden taki pajac wiedział, jak jest zabawny, nigdy nawet nie próbowałby grania zgóry skazanych na niepowodzenie komedyj.

Marja C-iczówna,
Włodawa.

I POCO TA NIEMĄDRA CZĘSTO „WSPÓŁCZESNOŚĆ"?

Kobieta!

Ileż w tem słowie czaru i piękna! Ile słońca w szarem życiu mężczyzny!

Kobieta - Polka!

Ileż tu głębokiej czci i szacunku! Ile wzniosłej treści, którą uświęciły stulecia i pokolenia całe!

Gdyby niejedna ze współczesnych kobiet wmyśliła się w to i wczuła, napewno byłaby mniej „współczesną", nie zatracając nic ze swojej wielkiej wartości i kobiety i Polki.

I poco ta niemądra często „współczesność"?

Zygmunt Turowicz,
Łuck.

NIE TYLKO PIĘKNE LICA..

O wy, modne i strojne! Gdybyście wiedziały, jak często pod piękną waszą szatą kryje się pustka wewnętrzna i próżność, nie dziwiłybyście się, że niejeden odwraca się od was, rozczarowany i rozgoryczony, że za boginię wziął przeciętną lalkę bez serca, bez duszy i bez treści.

Nieprawdą jest, że mężczyzna szuka w kobiecie tylko powabnego liczka i uroku fizycznego. Być może, iż są tacy, którym to wystarcza, bo sami również niewiele posiadają treści. A jednak istnieją i ci, którzy w kobiecie cenią człowieka i, jeżeli go nie znajdują, najpiękniejsze liczko nic nie pomoże i żywego uczucia w sercu nie obudzi.

Stefan W-ski,
Gniezno.



Polskie Towarzystwo Radjotechniczne

(Wywiad z dyr. Rudniewskim)



Siedziba Polskiego Tow. Radjotechnicznego (P. T. R.) w Warszawie.

W uznaniu zasług jakie położyło P. T. R. na polu radjofonji w Polsce, chcąc jednocześnie zapoznać naszych czytelników z jego działalnością, zwróciliśmy się do znanego ze swej energicznej działalności dyrektora R. Rudniewskiego z prośbą o wywiad. Jak zwykle uczynny i tym razem nie odmówił naszej prośbie.

— Towarzystwo nasze — zaczął p. Rudniewski, gdym mu wyjawił cel wizyty — powstało w 1922 roku z fuzji dwóch firm — Radjopolu i Faradu. Po za wspomnianemi firmami, jako akcjonarjusze, weszły koncerny zagraniczne: „Marconi's Wireless Telegraph Company, Ltd", „Compagnie Générale de Télégraphie Sans Fil" i „Société Française Radio-Electrique", sprzedając Towarzystwu posiadane patenty. Dalej, zakupiono patenty „Marconi-Osram Valve Co. Ltd." i „La Radiotechnique", zapewniając sobie tem materjał do pracy.

W roku 1925 P. T. R. własnym sumptem uruchomiło stację radio-nadawczą, przyczyniając się tem silnie do propagandy radjofonji w Polsce.

Z chwilą, gdy na rynku krajowym wzrosło zapotrzebowanie na sprzęt radjowy, P. T. R. przystąpiło do produkcji. Dotychczas na rynek rzuciliśmy przeszło 100.000 sztuk lamp katodowych. Poza tem wyrabiamy aparaty detektorowe, jedno, dwu, trzy, cztero i pięcio-lampowe, które zdążyły już sobie wyrobić bardzo dobrą markę. Oprócz lamp i aparatów robimy jeszcze części zamienne, a ostatnio przystąpiliśmy do fabrykacji beztubowych głośników według wzorów Radio-Lavox S. F. R.

Dążąc zwolna do coraz to większej produkcji, zatrudniają dzisiaj wszystkie działy przeszło 300 robotników i około 100 urzędników. Nad technicznem wykonaniem czuwa 15 inżynierów-radjotechników, których imiona stały się powagą. Tak np. dyrektor techniczny P. T. R. — inż. Plebański, będący najtęższym radjotechnikiem w Polsce, jest posiadaczem wielu własnych patentów, które Towarzystwo eksploatuje.

Obecnie czynne są dwie fabryki. Jedna na Narbutta 29, aparatowa i lampowa, druga na Woli przy ul. Syreny 8 mechaniczna, budująca sprzęt pomocniczy do przewożenia wojskowych stacyj korespondencyjnych, maszty i t. p.

M. S. Wojsk. udziela nam zamówień stale, zaopatrując się w stacje korespondencyjne typów polowych, lotniczych, morskich, gonjometrycznych oraz stacji dla wyższych dowództw.

W ten sposób dziedzina tego przemysłu, aczkolwiek jedna z najtrudniejszych, powstała po wojnie, pozwoliła rozwinąć i usamodzielnić się tak, że zarówno czynniki rządowe, jak i rynek ogólny może zaopatrywać się w radjosprzęt w kraju, unikając tem samem obciążenia bilansu handlowego.

Niezależnie od działalności przemysłowo-handlowej czynne są laboratorja w których inżynierowie nasi eksperymentują nad aparatami, dochodząc do bardzo ciekawych rezultatów.

— Jak przedstawia się zapotrzebowanie rynku? — rzucam pytanie.

— Pokrywamy obecnie 33 proc. ogólnego zapotrzebowania pod względem wartości, a 20 procent pod względem ilości, nie produkujemy bowiem tanicj tandety. Moglibyśmy natomiast zasilić cały rynek, gdyby rząd ochraniał nasz przemysł w postaci ceł ochronnych. Obecna bowiem polityka podatkowa absolutnie nie rozwiązuje tej kwestji.

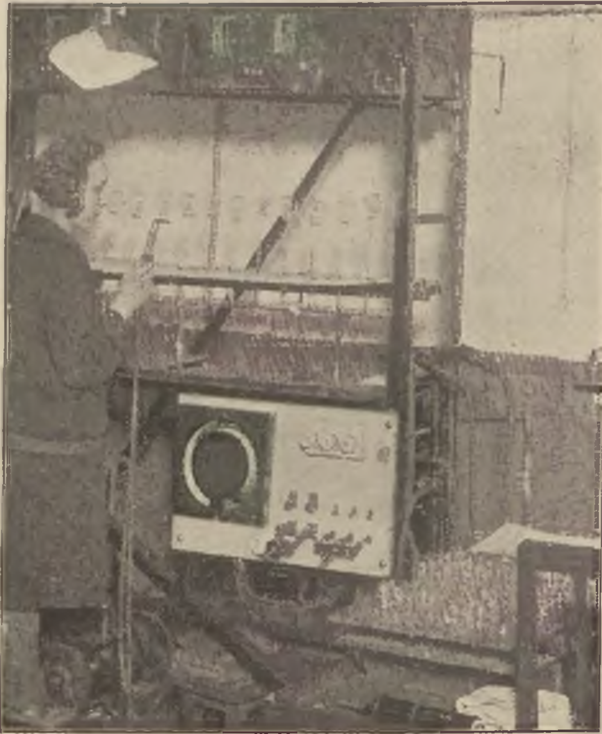
W tym stanie rzeczy jedynie obciążonym jest kupujący, płacąc 20 proc. podatku nie od wartości zasadniczej, a od ceny ostatecznej wliczając w to już zarobek, transport i t. p.

Jedynie obciążenie celne importera mogłoby dać odpowiednie rezultaty.

Stosunek firm handlujących do naszych wyrobów jest bardzo przychyl-



Fragment warsztatu, zatrudniającego sporą ilość rąk



Skomplikowane i wymagające precyzji przygotowywanie lampek radjowych.

ny. Publiczność żąda specjalnie polskich aparatów, uważając je za lepsze.

— Skąd fabryki czerpią surowców?

— W surowce zaopatrujemy się przeważnie na rynku krajowym. Jedynie kable, izolację i szkło do lamp katodowych jesteśmy zmuszeni sprowadzać.

Poza tem, do naszych aparatów używamy wyłącznie polskich wyrobów, jak anodówek Energos, akumulatorów Tudor, Ergs i t. d.

— Czego rynek potrzebuje jeszcze?

— Przedewszystkiem dekoltażu, końcówek, zacieków, skal i t. p. Rzeczy te wytwarzamy na swój użytek. Na rynek nie możemy rzucić ich z powodu braku giełdy na te wyroby.

— Jak przedstawia się dział sprzedaży?

— Posiadamy własny sklep w Hotelu Europejskim, zaopatrzony we wszelkie nowości. Ostatnio zorganizowaliśmy dział akwizycji w ten sposób, iż akwizytorzy nasi będą demonstrowali aparaty po mieszkaniach.

— Na koniec jeszcze jedno pytanie, tyczące się osoby Pańskiej: mógłby mi pan coś o sobie powiedzieć?

— Co ja panu powiem o sobie?—Po wystąpieniu z wojska w 1920 r. przystąpiłem wraz z przyjacielem inż. Hellerem do organizacji „Faradu". Od chwili złączenia się z „Radjopolem" w P. T. R. pracuję w tej nowej placówce. Poświęciłem cały swój majątek, czas, najlepsze lata swoje radjotechnice. Jest to jedyny mój cel i jedyna treść życia.

— Z mojej inicjatywy powstało Zrzeszenie Przedsiębiorców Radjotechnicznych w Polsce. Poza tem jestem członkiem zarządu i sekretarzem Radjotechników Polskich. Piastuję urząd wice-prezesa Centralnego Komitetu Radjotechników, instytucji naukowej, poświęconej badaniom radjotechniki.

— Tak proszę pana — pracuję i żyję tylko dla radja!

Wywiad mój był skończony. Wstałem i pożegnałem się z tem przeświadczeniem, że, gdybyśmy posiadali więcej takich jednostek, to przemysł nasz stałby na zupełnie innym poziomie.

J. J. M.

SPROSTOWANIE

W nr. 10 „Famulusa" omyłkowo zostały nazwane aparaty wzoru Radio-Lavox tubowemi, co niniejszem prostujemy, gdyż właśnie cała ich zaleta polega na beztubowości.



W ubiegłym tygodniu w Skolimowie pod Warszawą odbyło się uroczyste poświęcenie Domu Aktora Polskiego, gdzie sędziwi i zasłużeni weterani sceny znajdą miły schron.



PIERWSZE WIADOMOSCI Z NICEI

Pierwszy dzień międzynarodowych konkursów hippicznych w Nicei był wielkim triumfem jeźdźców polskich. W jedynym konkursie dnia „Nagrodzie Przyjęcia" pierwsze miejsce zdobył na „Hannibalu" por. Starnawski wespół z Francuzami kpt. Bertrandem i por. Montegnon. Ponadto Polacy zajęli miejsca następujące: 5-te — rtm. Królikiewicz, 6-te — mjr. Toczek. 14-te i 19-te rtm. Antoniewicz, oraz 15-te ppułk. Rómmel.

Z 18-tu nagród honorowych, ofiarowanych w konkursie tym przez ks. Aostę Polacy zdobyli pięć.

6-DAYS KOLARSKIE W PARYŻU

Drżał cały Paryż w oczekiwaniu wyniku 6-dniowego wyścigu kolarskiego, o którym rozpisywały się nietylko dzienniki i prasa fachowa, ale nawet pisma czysto literackie jak „Candide" lub „Nouvelles Littéraires".

Pierwsi przybyli Mac Namara i E. Aerts, przyczem w napięciu trzymali widzów do ostatniej chwili. Zawrotny rekord przebytej w 143 godzin przestrzeni nie osłabił w zawodnikach wyczucia tego momentu, który najlepiej... opłaca się materjalnie, co wskazuje zresztą na bajeczną rutynę sportowców.



Jazda polska w Nicei: Por. Szosland na klaczy „Laszka"



Jazda polska w Nicei: Kierownik grupy ppłk. K. Rómmel.

CARPENTIER WRACA NA RING

Donoszą z New-Yorku, że rewanżowe spotkanie Carpentier—Dempsey dojdzie do skutku w najbliższym czasie. Honorarjum Carpentier'a więcej wynosi, niż „feu" aktorskie na deskach kabaretów, gdzie ostatnio występował. 75.000 dolarów, to wcale niezły kusz!





KINEMATOGRAFICZNE ZJAWISKA ODWROTNEJ DYNAMIKI

Epoka, w której żyjemy, nacechowana jest ciągłą i nieprzepartą dążnością do rozwoju szybkości we wszelkich dziedzinach techniki.

Zjawiska, o których będzie mowa, całkiem tłomaczą dziwne i w pewnej mierze paradoksalne brzmienie nagłówka tego artykułu. Spróbujemy w krótkim zarysie streścić przebieg pokazów, którym zagraniczne sprawozdania fachowe poświęciły liczne komentarze.

Normalne zdjęcie kinematograficzne jest uchwyceniem przedmiotu w ruchu z przeciętną szybkością 16 obrazów na sekundę, zawartych w 16 kolejnych klatkach taśmy filmowej.

Jeśli dla tych lub innych celów zechcemy otrzymać bardziej szczegółową plastykę, zmuszeni będziemy powiększyć w znacznym stosunku ilość naświetlanych fragmentów ruchu. Do niedawna uciekano się do aparatów, które zamiast 16 — naświetlały do 300 obrazów na sekundę. Uczony francuski, Bull z Instytutu Marey, zbudował w ostatnich czasach aparat, dzięki któremu można naświetlać już nie 300, ale do 20.000 obrazów na sekundę.

Zawrotny rekord szybkości!

Rzecz prosta, iż wzmożenie szybkości naświetlania, nie pociąga za sobą podobnego tempa w wyświetlaniu. Celem naszym jest bowiem rozłożenie, „zwolnienie“ zjawisk ruchu.

Dzięki tej piorunującej szybkości oko ludzkie za pośrednictwem aparatu i ekranu jest w stanie obserwować dotychczas niedostrzegalne zjawiska, doniosłe w swem znaczeniu dla ludzi nauki, pozostawiające na widzu - laiku niezapomniane wrażenie feerycznej fantazji.

‚Oto, naprzykład. opis długiego filmu, obrazującego rozbicie bańki mydlanej przez jakieś twarde ciało.

Cudowna ta bajka z trudnością da się opisać. Bańka wykazuje tak nadzwyczajną elastyczność, że obce ciało, które ją przeszywa, przechodzi nie rozbijając jej. Bańka kurczy się, przepuszczając intruza, poczem na mgnienie oka powraca do normalnego stanu. Coś jednak rozbiło tajemną równowagę, powoli więc bańka rozdziera się, jednolita z początku wstęga rozpada się na drobniejsze części, na paski, które w barwnych, harmonijnych splotach spadają ku ziemi.

‚Widowisko skończone. Zdajemy sobie wówczas sprawę, jak mało doskonałym jest zmysł naszego wzroku, dla którego niedostępne były cudne widowiska bogatego tempa życia otaczających nas atomów, ustawicznie wirujących w harmonijnym ruchu.



Glorja Swanson w tytułowej roli filmu p. t. "The love of Sunya" wyświetlanego na inauguracji największego kinoteatru w New-Yorku „The Roxy Theatre“, mogącego pomieścić do 8.000 widzów.

OSTATNIA KREACJA POLI NEGRI.

Wedle wiadomości, nadchodzących zza Oceanu, amerykańska firma Paramount ma rozpocząć w kwietniu okres swej produkcji w r. 1927 nowym filmem p. t.: „Hotel Imperial“.

Bohaterką filmu jest słynna nasza rodaczka Pola Negri, która twierdzi, iż rola, jaką gra w tym dramacie, jest najpiękniejszą w całej jej dotychczasowej karjerze artystycznej.

Realizatorem filmu jest sławny szwedzki inscenizator Stiller, z którym współpracował dawny kierownik „Ufy“ Eryk Pommer. Tło nowego obrazu jest bardzo dramatyczne; na ekranie rozgrywają się epizody jakiejś wielkiej wojny pomiędzy dwoma fantastycznymi krajami morskimi. Dla filmu tego musiał Paramount zbudować olbrzymie dekoracje, wśród nich całe miasto z pałacami, ulicami, ogrodami i t. d. „Hotel Imperial“ tworzy dekorację zasadniczą, w którym rozgrywa się główna część akcji.

Pełna tragicznego napięcia, rola Poli Negri daje w „Hotelu Imperial“ duże pole do popisu i uwydatnia silny temperament dramatyczny znakomitej gwiazdy filmowej. Partnerami głównymi naszej rodaczki są James Hall i Jerzy Siegmann.

Pola Negri ma w najbliższych dniach przybyć do Paryża, celem uczestniczenia w premjerze tego filmu. Paryżanie przygotowują dla naszej artystki owacyjne przyjęcie.



Niejednokrotnie dawaliśmy miejsce w tej rubryce luksusowi i wszelkim dziwacznym fantazjom, które dekrety augurów wszechświatowej mody nadsyłają nam co sezon. Nowinki te zachwycają nas, wzbudzają westchnienie zazdrości, lecz wnet przechodzimy do porządku dziennego, argument bowiem „racja stanu“ pochodzi w danym wypadku od „nie stać nas“ na modne wybryki.



Zachęcić nas mogą tylko te wzory, które są owocem zdrowego sensu praktycznego, odnawiania tanim kosztem stroju przez małą inowację, która tem nie mniej modernizuje w ogólnym tonie naszą sylwetkę.

Taką właśnie praktyczną inowacją są kaftany bez rękawów, proste w linji, które nosi się do wszelkich sukienek z crepe de chine'u, woalu lub crepe georgette. Kaftany te, wykonane z velours'ów w różnych odmianach, lamowane sutaszem lub galonem i ozdobne w różne fantazyjne haftowane ornamenty, są zarazem bardzo strojne, jak i praktyczne, pozwalają bowiem zakryć brak pierwszej świeżości sukienki.

Idąc w myśl modnej gry kolorów, skombinowanie barw w stosunku do sukienki jest najzupełniej dowolne z uwzględnieniem bodaj nawet dysonansów w harmonji.

Kosmetyka

Senjor specjalistów w dziedzinie kosmetyki leczniczej p. W. Klimecki objął w „Famulusie“ dział kosmetyki pod osobistą redakcję. Niewątpliwie będzie to powitane przez ogół naszych Czytelniczek z zadowoleniem,



W. Klimecki



Wzory robótek ręcznych, które na życzenie naszych Czytelniczek podawać będziemy co pewien czas, czerpiąc materjał z pierwszorzędnych źródeł zagranicznych.

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3. —
Półrocznie	„ 6. —
Rocznie	„ 12.—

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa Miodowa 5. tel. 21 33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-tej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy **I. K. Librach** przyjmuje od 9-10.
Konto P. K. O. Nr. 14315.

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.

4) Jak Dyndała poszedł z nędzy, walczyć w cyrku dla pieniędzy...



Z żalem w sercu i tęsknicą
idzie Dyndała ulicą,
wtem na afisz wzrok mu pada —
krwią zagrała mu twarz blada:
wielki turniej zapaśniczy,
kto zwycięży, złoto liczy...



Ukazując szpetnie zęby,
siłacze rozwarli gęby,
impresarjo zamarł w śmiechu,
zaparło go na oddechu,
ale myśli: — Są też cuda,
a nuż się chudemu uda?



Woła wołacz gromkim głosem:
— Byk-Bykalski z Długonosem!
I huknęły takie brawa,
takie ryki, taka wrzawa,
że Dyndała wdzięcznym dygiem,
podziękował za fatygę...



Byk Dyndałę na hopsztosa
skręcił, miażdżąc mu pół nosa,
i swą, niczem grabie, ręką,
za nóżkę go ściskał cienką
i jak frygą jaką kręcił —
ratujcież go wszyscy święci!



Potem rzucił go na ziemię,
jak nieludzkie jakie plemię,
i łopatki wgniótł do piachu...
Zamarł Dyndała ze strachu,
wykręciła mu się szczęka
i zwichnęła lewa ręka...



Tak się skończył cyrk Dyndały,
wszystkie kości go bolały,
wszystkie zęby w górnej szczęce
chwiały się, a w lewej ręce
tak strzykało go bez przerwy,
że nieprędko nabrał werwy...